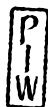


**Louis-Ferdinand
Céline**

Wojna



edycja pod redakcją
Pascala Fouché

z tekstami
Pascala Fouché i François Gibaulta
oraz postowiem
Anny Wasilewskiej

przełożyła
Anna Wasilewska

Tkwiłem tam jeszcze następnej nocy. Krew przykleiła mi lewe ucho do ziemi, usta też. Strasznie huczało. Spałem w tym huku, no i padał deszcz, dosyć gęsty. Obok leżał bezwładnie Kersuzon, moknąc. Wyciągnąłem rękę. Dotknąłem jego ciała. Nie mogłem wyciągnąć drugiej. Nawet nie wiedziałem, gdzie jest. Podrywało ją coś w górę, tak wysoko, że wirowała w próżni, a potem, kiedy zaczynała opadać, czułem rwanie w barku, rozdartym do żywego mięsa. Za każdym razem wylem i było jeszcze gorzej. W końcu udało mi się robić trochę mniej hałasu, chociaż nadal krzychałem, czaszka pękała mi od środka, jakby wjeżdżał w nią pociąg. Bunt był na nic. Po raz pierwszy zasnąłem w tym bloku, wśród przelatujących z gwizdem szrapneli, w potwornym ryku, nie

do końca tracąc przytomność, słowem: w koszmarze. Jeśli nie liczyć godzin, w których mnie operowano, ani razu nie straciłem przytomności. Od grudnia czternastego roku zawsze już spałem w tym potwornym ryku. Wojna wskoczyła mi do głowy. I w mojej głowie siedzi.

No dobra. Jak mówiłem, w środku nocy udało mi się przewrócić na brzuch. Było niezłe. Nauczyłem się odróżniać hałasy z zewnątrz od hałasów, które nigdy mnie nie opuszczają. Co do bólu, porządnie oberwałem w ramię i w kolano. Mimo to udało mi się wstać. Mimo wszystko byłem głodny. Poobracałem się trochę w tej zamkniętej przestrzeni, gdzie nas dopadli, również Le Drelière'a i cały konwój. Gdzie on się podział? A tamci? Upłynęły godziny, cała noc i prawie cały dzień, odkąd nadciągaliśmy, żeby zrobić z nich miazgę. Widać było tylko drobne garby na zboczu i w sadzie, gdzie dymiły, skwierczały i dopalały się to tu, to tam nasze wozy. Duża kuźnia polowa zamieniała się w kupę popiołu, po wozie na furaz nie został ślad. Nie rozpoznałem

adiutanta pośród zgliszczy. Nieco dalej dostrzegłem jednego z koni, a za nim odłamek dyszla, leżący w popiele, wzdłuż muru fermy, który właśnie rozpadał się na kawałki. Musieli wrócić galopem wśród gruzów, pod ostrzałem, jakby dostali kopa w dupę, to fakt. Le Drelière wykonał dobrą robotę. Przykucnięty, nie ruszałem się z miejsca. W dobrze urobionym błocie pełnym szrapneli. Spadło co najmniej dwieście pocisków. Trupy leżały tu i tam. Faceta od obroczników rozerwało jak granat, to fakt, od szyi do połowy spodni. W jego brzuchu harcowały już dwa spasioone szczury, wcinając poharatane bebechy. Obejście cuchnęło nadpsutym mięsem i spalenizną, zwłaszcza sam środek, gdzie leżało na stosie dziesięć koni z rozprutymi brzuchami. To tam Le Drelière'a powalił pocisk, który wybuchł dwa albo trzy metry dalej. Nagle, w tym bigosie, przypomniała mi się torba z forszą, którą miał przy sobie.

Ciągle nie wiedziałem, co o tym myśleć. Nie byłem w stanie główkować o czymkol-

wiek. Niemniej cholernie się tym gryzłem, na przekór całej potworności i huczącej we mnie burzy. Wyglądało na to, że Le Drellière ma jeszcze mniejsze szanse niż ja na wyjście z tej kurewskiej przygody. Nie byłem nawet pewien, czy słyszę odgłosy armaty. Wszystko się ze sobą zlewało. Widać było małe grupki konne i piesze, które się oddalały. Wolałbym, żeby to byli Niemcy, ale jakoś nie było ich widać. Mieli pewnie co innego do roboty gdzie indziej. Musieli dostać rozkazy. Tutaj było już po sprawie. Co do pułku, musiałbym sam go odnaleźć! Gdzie mógł się podziać? Za każdym razem, gdy w mojej głowie pojawiał się choćby załążek myśli, zaraz traciłem wątek i musiałem wysilać się od nowa, jak na peronie, gdy przejazd pociągu zagłusza rozmowę. To ćwiczenie męczy, możecie mi wierzyć. Teraz mam wprawę. Dwudziestolatek szybko się uczy. Dusza stwardniała mi jak biceps. Nie wierzę w łatwiznę. Nauczyłem się muzykować, spać, przebaczać, i sami widzicie, pisać ładne kawałki uszyte z odłamków horroru, wyr-

wanych hukowi, który nigdy się nie skończy. Mniejsza o to.

W szczątkach wielkiej kuźni polowej znalazło się jeszcze kilka konserw wołowych. Ogień je rozerwał, ale dla mnie były w sam raz. Chciało mi się pić. Wszystko, co pożarłem, używając jednej ręki, było we krwi, mojej i nie tylko. Więc rozejrzałem się za trupem, który by miał przy sobie jakiś napitek. Znalazłem coś przy wyjściu z zagrody, u szasera. W kieszeni płaszcza miał dwie butelki bordeaux. Kradzione, jak nic, oficerskie. Potem skierowałem się na wschód, skąd przyszliśmy. Posunąłem się o sto metrów. Skapowałem, że zaczyna mi się już kiełbasić we łbie. Zdawało mi się, że pośrodku pola widzę konia. Chciałem go dosiąść, ale z bliska dostrzegłem, że to wzdęta krowa, zdechła od jakichś trzech dni. No, nie zrobiło mi się od tego lepiej. Później zobaczyłem działa, które tam na pewno nie stały. Z moim uchem było coś nie tak.

Żołnierzy wciąż ani śladu. Całymi kilometrami nic. Znowu napiłem się krwi. Ryk

w mojej głowie pomału ustawał. Ale i tak wyrzygałem wszystko, te dwie flaszki też. Świat dokoła wirował. A niech to szlag, Ferdinandzie. Chyba nie odwalisz tu kity, przecież najgorsze za tobą!

Jeszcze nigdy nie byłem równie dzielny. No i pomyślałem o torbie z forszą, o doszczętnie złupionych furgonach, i poczułem trzy razy większy ból: ręki, głowy, w której huczało, i najgłębiej, sumienia. Ogarnęła mnie panika, bo przecież miły ze mnie chłopak. Gadałbym do siebie na głos, gdyby krew nie sklejała mi języka. Zwykle dodaje mi to odwagi.

Okolica była płaska, ale zdradzieckie, głębokie rowy z wodą utrudniały marsz. Trzeba było stale zbaczać z drogi, a i tak ciągle wracałem w to samo miejsce. Wydawało mi się, że słyszę świst kul. Za to koryto z wodą, przy którym stanąłem, było na pewno prawdziwe. Podtrzymałem ramię drugą ręką, nie mogłem go wyprostować. Leżało martwe na moich żebrach. Zupełnie jakbym miał na wysokości barku gąbkę z tkaniny i krwi. Gdybym choć

trochę ją przesunął, skonałbym, tak cholernie mnie bolała, przeszywająco, to fakt.

Czułem, że w środku mam jeszcze sporo życia i ono stawia opór. Wcześniej nigdy bym w to nie uwierzył. Szło mi się nawet całkiem nieźle, po dwieście metrów na etap. Bolało jak diabli, od kolana do głowy. W uchu szum na pełny buzel, wszystko wyglądało inaczej, nic nie było takie jak wcześniej. Dokoła szaro-beżowy kit, drzewa się chwiały, droga pod moimi buciorami to łagodnie się wznosiła, to łagodnie opadała. Została mi tylko bluza wojskowa i deszcz. Nadal nikogo. Tortura w głowie rezonowała na tym bezkresnym pustkowiu. Robiłem tak dużo hałasu, jakbym miał rozpętać bitwę. Wsłuchując się w siebie, czułem wręcz strach. Było tam głośniej niż na bitwie. W rozbłysku słońca widać oto w oddali dzwonnice, prawdziwą, góruje nad polami, jest wielka. Idź tam, mówię sobie. Równie dobry kierunek jak każdy. Siadam – huczy mi w bani, ramię mam w strzępach i usiłuję sobie przypomnieć, co zaszło. Nic z tego.